

WROBLE na DACHU

Nr. 29. (57).

Rok II.

19. VII. 1931.

Cena 30 gr.



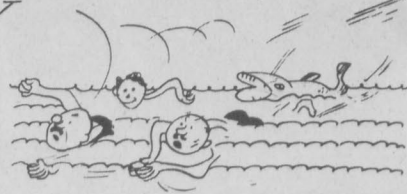
WIERNOŚĆ ZAKOTWICZONA:

— Teraz, kochana żoneczko, mogę spokojnie odjechać...

Rys. A. Wasilewski, Kraków



NA PLAŻY



Na plaży

— Uj, jaka zimna woda!...
— Ty chciałeś, aby ci za zło-
tówkę kaloryfery wstawili?

Panna Misia (patrzy rozmazana na morze): — Nie, ta woda nie ugasi płomienia namiętności. Tylko miłość jest właściwym źródłem życia wśród bezmiarów pustyni.

Pan Alfred (oschle): — ...I tylko wielbłądy gaszą nią swoje pragnienie...

Pani Lula po powrocie z nad morza: — Widzisz, mężusiu, zawsze prawda wyjdzie na jaw. Pisałeś mi, że nie wychodzisz nigdzie wieczorami, a oto rachunek z elektrowni wynosi za ledwie 60 groszy za cały miesiąc.

Słońce na głowie, pod nogami piach, rześista ulewa gorących promieni, krzyki, hałasy, śmiechy, och i ach — jesteś jak sułtan, jak król i jak szach, a wokół wszyscy trochę... pomyleni — —

Tutaj spojrzenie pary pięknych ślep, tam znów Mont Everest straszliwego cielska — idziesz zgłupiały, jak mucha na lep, zachwył ci w żyłach chadza jakby skrzep, a w serce sphywa błogość przeanielska — —

Ach, gdzie spojrzenia umiejscowić, gdzie? ach, dokąd zwrócić westchnienia głębokie? — tu ktoś, co czarem i świeżością tchnie, tam znowu serce z zachwytu się mnie; ktoś, jak apopleksją razi cię urokiem — —

Życie? Wiadomo: jest to plaża plag, miło od czasu do czasu — zapomnieć, żyć na odwyrtkę, na bakier, na wspan, popłynąć w wolność, swobodnie, jak wrak, beztrosko, jasno i na wpeł przytomnie — —

Że tam ktoś wzdycha, klnie na plagę plaż? kłąć zawsze musi ktoś i ktoś wzdychać! przez dwa tygodnie wydasz sześć swych gaź i w długach skąpiesz się po szyję aż, lecz w sercu: radość, szaleństwo i pycha — —

JAN SINALCO

Refleksje

„...Plaża jest, jak bał w kar-nawale, tylko kobiety są na niej więcej ubrane”.

— Cóż to, Felek nie pokazuje się na plaży?

— On teraz po obniżce pensyj czeka, aż się bardziej zbrudzi.

— Spójrz, najdroższy, jak nisko szybują mewy. Mam przecucie, że będzie straszna burza.

— Sądziś, kochanie? A którym okrętem ma przyjechać twój mąż?

— Zosiu, wyjdź już z wody! Lada chwila zaczniesz deszcz padać.

— Mamusiu, wołę tutaj zostać przynajmniej jestem pewna, że mnie deszcz nie zmoczy.

ROZKOSZE PLAŻY

Panu Janowi ścisnęła głowę zielona obręcz obłędu. Wyjazd — podróż — przyjazd. Pakowanie — przenoszenie pakunków — wypakowywanie. 12 sztuk dużych a 132 małe. I zwykły repertuar:

— Jasiu, czy jest wszystko?
— Zdaje się, że jest...
— „Zdaje się”? Jasiu? „Zdaje się”? Boże! Jemu się zdaje! Miała rację mamusia, mówiąc, że wychodzę za mąż za matoła. Tyś powinien wiedzieć!

Za godzinę:
— Jasiu! Czy my jedziemy dobrym pociągiem?
— Zdaje się, że tak...
— Zdaje się? Mężczyzna! Powinieneś wiedzieć!
— Nie jestem kolejjarzem...
— Boże, ten człowiek do grobu mnie wpędzi! Przecież konduktor powiedział, że jedziemy dobrym pociągiem...
— A więc wszystko w porządku!
— Cynbał! konduktor może się mylić... to też człowiek...

Tak i jeszcze gorzej było przez całą drogę. Pan Jan czuł, że mu głowa puchnie, że staje się wielka, jak cebrzyk i że w tym cebrzyku lada chwila wybuchnie dynamit szaleństwa...
— Jasiu, rany Boskie, zgubiłam bilety! Nie mam ich! Albo mi ktoś ukradł... Bo ty na mnie nie uważasz! Pewnie ukradziono mi je, gdy ty patrzyłeś na tę wstrętą blondynkę... Może zatrzymać pociąg?

W pół godziny potem bilety znaleziono po skrętnem i nerwowem poszukiwaniu w pończosze pani Juty.
— Tak tak, teraz sobie przypominam, sama je tam włożyłam. Tybys się na to nie zdobył. Ja na wszystko uważam!
— A może teraz jabym je wziął?
— Nie. Ja chcę szczęśliwie dojechać na Hel... Ja je schowałam! Tak się też stało. Poczem bilety zaginęły. Definitywnie. Pan Jan musiał robić dopłatę, lekko się tylko krzywiąc...

Rozpakowywanie trwało dwa dni. Okazało się przy tem, że pani Juta nie wzięła kostjumów i płaszczy kąpielowych, za to wzięła odkurzacz. Natomiast w pakunku, gdzie, według wszystkich: przysiągł pani Juty, miał znajdować się budzik, znaleziono licznik elektryczny...

— Oczywiście! Bo ty na nic nie uważasz! Ty żono, pracuj, martw się, myśl o wszystkim, nadrabiaj głową — a on nic. Z czego się śmiesz?

— Myślę, że byłoby przekomiczne, gdyby w pudełku z kapelusami zamiast kapeluszy, znalazło się kapryśne naczynie...
— Milez! Jesteś szatan, Belzebub i hermafrodyta!

Wszystko było już w porządku. Chyba tylko to że poza ubraniami, które pan Jan miał na sobie, żadne inne nie było w komplecie. Z brązowego była tylko marynarka i kamizelka, z granatowego tylko spodnie, natomiast ze smokinga jedynie kamizelka. Zato wszystkie koszulki były smokingowe.

Przeto okazała się potrzeba natychmiastowych zakupów. — Wreszcie i pan Jan i pani Juta wystroili się na plażę.

— A to co? — westchnął pan Jan, ujrawszy żonę w kostjumie kąpielowym?

— Kostjum...
— To jest kostjum. To jest nic, związane na ramieniu. To zasłania cię tyle, ile medal odznaczonego...

— Idjota! Kostjum nie jest po to, aby zasłaniać!
— Ależ ty jesteś prawie naga. Całe plecy...

Pan Jan nieco się uspokoił, kiedy znalazł się na plaży. Jego żona nie raziła. A jeśli — to już na lepsze. To też w chwilę potem znalazł się jakiś znajomy, p. mecnas Odrobinka i przedstawił jakichś dwóch panów. W pięć minut potem Dr. Cacany przedstawił trzech innych. Pani Juta była w siódmym niebie. Pławiła się w komplementach, jak w wodzie, chłonęła w siebie spojrzenia, jak promienie słońca. Pan Jan przestał się liczyć.

A w domu? W domu — awantura.
— Jesteś cham. Niewychowany. Dorożkarz. Twoja żona robi konkięty, a ten ogląda się za innymi...

— Przecież do ciebie dopchać się nie mogę!
— Zbój! Zamiast się cieszyć... Ja ci dam patrzeć za innymi!...
Przez całe cztery tygodnie dokoła pani Juty kręciło się siedmiu panów. Czasem było ich więcej. A kto jest ten osołowiwały, wścickły pan, który siedzi opodał? To pan Jan.

Po powrocie pani Juta będzie opowiadać:
— Bawiliśmy się doskonale, przewspaniale!
A pan Jan będzie potakiwał.

Pokraka.

Porównanie

Dwaj koledzy obserwują, jak policjant wlecze za sobą na komisariat zagazowanego obywatela. Powiada jeden z nich:

- Ten widok przypomina mi całkiem „Nautilus”.
- ??
- No, bo „Nautilus” przecież też był „holowany”.

- Naprawdę, pańska córka ślicznie gra na fortepianie.
- Owszem, ale wolałbym, żeby grała na skrzypcach.
- Dlaczego?
- Bo skrzypce łatwiej można wyrzucić przez okno.

Panna do woźnego w ministerstwie rolnictwa:

- Czy mogłabym się widzieć z panem ministrem?
- A w jakiej sprawie?
- To jest, proszę pana, właściwie sprawa ściśle osobista. Bo wie pan, zasadziłam w doniczce cebulę hyacyncy i nie mogę się doczekać, aż zakwitnie.

W budce automatu telefonicznego już od dłuższego czasu siedzi jakaś pani i z wielkim zainteresowaniem przegląda książkę telefoniczną. Wreszcie jeden z licznych niecierpliwie czekających na uwolnienie aparatu, ośmiela się, otwiera drzwi i zapytuje:

- Bardzo panią przepraszam, ale czy pani już telefonowała? To już trochę za długo trwa.
- Jeszcze nie, proszę pana. Ja zresztą wcale nie chcę telefonować, szukam tylko w spisie jakiegoś ładnego imienia, bo jestem zaproszona na chrzestną matkę do krewnych.

Kochanek (do męża, który wpada jak bomba do mieszkania w najniestosowniejszej chwili i rzuca się na obcego mężczyznę, wychodzącego z kuchni):

- Panie, to niewinny człowiek! Ja jestem kochankiem pańskiej żony, a ten osobnik jest narzeczonym kucharki!
- Wiem o tem — to ten łotr, który mi kała dom! Właśnie na niego poluję!!

Parawanik plażowy

Rus. A. Wasiliewski. Kraków



— Teraz już mogę spokojnie się ubierać...

„Sicher ist sicher!“...

Rys. Keller. Warszawa



Pan Salomon Schwimenduft uczy się pływać...

Na Wystawie Kolonialnej

- Jak widzę, to pan lubi murzynki!
- Tak mi wypada, proszę pana, bo mam żalobę po żonie.

- Doktor powiedział mi, że jestem postępowym człowiekiem.
- Od kiedy?
- Odkąd mam paraliż postępowy.

— Widzisz, najdroższy? Tam pod tą skałą odbyło się nasze pierwsze spotkanie!

— Owszem, pamiętam. Widzę nawet, że tam jeszcze jeden głupiec czeka.

Gość: (zartobliwie wskazując na befszytk): — No, ta porcja nie jest nawet tak wielka, jak ja!

Kelner: — Niech pan daruje, ale całego wołu nie mogłem przecież przynieść!

— Policjant skarży się, że pan odpowiadał mu kpinami?

— Zapewniam pana sędziogo, że to tylko nieporozumienie. Zatrzymał mnie na drodze, zbesztiał, zwymyślał, a ponieważ moja żona przemawia do mnie jola w jotę tak samo, więc, słysząc tak dobrze znany mi słownik, odpowiedziałem przez pomyłkę: „Masz rację, mój skarbie!”.

Nie lubi oficerów

— Moja Marjanno, przecież to nie wypada przyjmować żołnierza w kuchni.

Stużca: — A gdzie go mam zaprowadzić? Przecież w pokoju pani siedzi już oficer, a on oficerów nie lubi.

— Figura chłopięca wyszła z mody — wróciła znowu linja pełniejsza.

— Tylko nie w kasach banków niemieckich.

Utan (przy kasie teatralnej): — Proszę o bilet.

Kasjer: — Galerja?

Utan: — Nie, proszę pana, kawalerja.

— Niektórzy lekarze twierdzą, że whisky z sodą należy pić tylko podczas upałów, a drudzy polecają pić ten napój tylko w zimie. Co pan na to, panie Wódniczek?

— Ja się zawsze trzymam obu nakazów.

Do oddziału Dresdner Banku wpada młodzieniec i woła:

— Oddajcie mi moje pieniądze.

— Niestety, możemy panu na razie wypłacić tylko 50 marek.

— Cudownie się składa — przecież ja miałem na moim rachunku już tylko osiemnaście marek.



- W ogłoszeniu pani powiedziane jest: pokój z widokiem na morze?
- Owszem, właśnie widok wsi nad łóżkiem...

„WRÓBLE NA DACHU“, TYGODNIK SATYRYCZNO-HUMORYSTYCZNY, WYCHODZI W KAŻDĄ NIEDZIELĘ W WARSZAWIE I KRAKOWIE.
PRENUMERATA KWARTALNA 3 ZŁ. 50 GR.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: KRAKÓW, ULICA WIELOPOLE 1, TELEFONY: 150-60 do 150-66. — WARSZAWA, KRAK. PRZEDMIEŚCIE 9.
TELEFONY: 208-63, 234-65, 670-21, 696-44 i 696-40. NUMER KONTA W P. K. O. W KRAKOWIE 411.000.
KIEROWNIK ARTYST.: ANTONI WASILEWSKI. REDAKTOR ODP.: DR. KAZIMIERZ SZCZEPAŃSKI. WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURIER”.
ZAKŁADY GRAFICZNE „ILUSTROWANEGO KURIERA CODZIENNEGO” POD ZARZĄDEM FELIKSA KORCZYŃSKIEGO W KRAKOWIE. R. 1931.